

Karolina Byszewska

TENEBROSE

To, co swego czasu było Milanem Uglenem, teraz poruszało się powoli przed siebie. Ciągnęło nogą ze złamaną kością udową po popękany asfalcie, a zakrwawionymi rękami machało wzdłuż wygiętego na bok ciała, wraz z każdym pokonywanym centymetrem – ni to człowiek, ni potwór.

W oceanie fragmentów popękanych zderzaków i stłuczonych szyb ludzie wykrzykiwali do siebie niepochlebne hasła. Oskarżali się. W amoku krzyczeli nawet na zwierzęta, które podkulały ogon, uciekały i chowały się w popłochu pomiędzy gałęzie akantów i bzu czarnego. Liście mieniły się różnymi kolorami czerwieni i złota, a wiatr targał nimi i na lewo, i na prawo. Toczył ciągłą walkę z tym, co pozostało z zasadzonej przed latami jabłoni, ale zwycięzca zawsze był inny; zima przyniesie wiosnę, a lato – jeszcze jedną jesień.

Prawa.

Prawa.

Lewa prawa, prawa.

Coś pomiędzy wykręconymi palcami trzymało otwartą paczkę soli. Krystaliczny, błyszczący w jesiennym słońcu ślad zaznaczał się nierównym szlakiem, ale umykał ludzkiemu wzrokowi, kiedy spoczywająca nisko na horyzoncie tarcza schowała się za szarą chmurą dymu. Okolica spowiła się całunem szarości. Atmosfera ciężka od spalin wyciskała z oczu łzy, a na gardle zaciskała szpony i wyduszała napady suchego kaszlu z płuc starszych i z młodszych.

Pisk dziewczynki na widok sztywnego kota.

Krzyk na widok *Cosia*.

Krzyk.

Na pozornie łatwej drodze w lipowej alei, gdzieśgdzie przeciętej przez jabłoń, konar z hukiem opadł na asfalt. Coś się potknęło o gałązkę bez kolorowych liści, a kość udowa przecięła skórę; Coś mocniej zacisnęło palce na bliżej niezidentyfikowanym, gąbczastym przedmiocie.

– Ej!

Krzyk i wskazujący palec przy śpiewie ropuchy.

Mięśnie drżały, ręce się trzęsły. Ciało odmawiało posłuszeństwa, a pogoda jakby sobie kpiała z zebranych dookoła ludzi. Od razu przyszli. Zostawili wszystko – i serial, i stygnący obiad – aby zobaczyć co się stało.

I co zobaczyli?

Ludzi oddających ostatnie tchnienie obok spalonego ciała, łzy i poszturchiwania, głuchą śmierć. Słuchali szeptów i mówili o tym, co swego czasu było istotą ludzką, a teraz zaznaczało za sobą drogę kroplami krwi i kryształami soli.

Przez ruchliwą ulicę i chodnikiem, pomiędzy ludźmi i drzewami, Coś szło w jedną stronę. Maszerowało na cmentarz, próbowało dostać się do rozkopanego przez kapłana grobu, tam, gdzie było jego miejsce. Wciąż utykało na nogę, starało się, aby cały ciężar opierać na drugiej.

Ale wykonywało jeszcze ten jeden krok w istnym pandemonium.
Jeszcze jeden krok wprost do pandemonium.

Dane kontaktowe / Contact details:

Karolina Byszewska

kb83887@stud.uph.edu.pl